

## Rafał Kosik – Felix, Net i Nika oraz Teoretycznie Możliwa Katastrofa – fragment 1

— Pamiętacie tę zapiekankę, którą jedliśmy ostatnio? — odezwał się Net. — Mój żołądek już o niej zapomniał.

Felix i Nika musieli przyznać, że też zgłodnieli. Obok dostrzegli bar, wyglądający dosyć osobliwie. Wewnątrz unoszącego się nad ziemią niewysokiego cylindra uwijał się człekokształtny robot. Siekał ryby i warzywa, wrzucał na patelnie i podawał gotowe dania klientom, którzy siedzieli na stołkach, przymocowanych do części centralnej. Cały ten okrągły bar wolno dryfował chodnikiem w kierunku ulicy Koszykowej.

— „Szamolot” — przeczytał Net. — Czyli można tam coś wszamać, lećąc.

Zaczęli się przyglądać innym automatom, ale niewiele rozumieli z tego, co głosiły napisy na nich. Napisy były najczęściej po polsku, angielsku i chińsku. Ten ostatni język mocno zaintrygował przyjaciół. Rozejrzeli się i stwierdzili, że w Warszawie roku 2060 jest zaskakująco dużo szyldów lub tabliczek informacyjnych z chińskimi znaczkami. Gdy przyjrzeni się otoczeniu jeszcze dokładniej, dotarło do nich, że wśród mijających ich przechodniów jest bardzo dużo ludzi ze skośnymi oczami. Było również bardzo dużo ludzi starszych, wręcz staruszków. Jednak wcale nie wyglądali na schorowanych ani niesprawnych.

— Zostawmy to — poprosiła Nika. — Pomyślmy, jak ustawić te tarcze Pierścienia, żeby wrócić do naszych czasów.

— Wróćmy do Pierścienia i wykonajmy kolejny skok w czasie — zaproponował Net. — Jak tylko się naładuje.

— Mam złe przeczucia związane z tymi skokami w ciemno...

— Musimy najpierw znaleźć Manfreda — zdecydował Felix. — On będzie potrafił odkopać archiwa Instytutu Badań Nadzwyczajnych.

— Po co? — zapytała Nika.

— Są w nich zapisy trzech tygodni badań nad Pierścieniem. Naukowcy przetestowali kilka tysięcy ustawień tarcz. Net będzie mógł rozwiązać swoje równania.

— Wtedy nie musielibyśmy robić skoku w ciemno — przyznał Net. — Ale najpierw coś zjedzmy, plis.

— Tu się pojawia problem pieniędzy — mruknął Felix. — Mam wprowadzić w plecaku czekoladę —

— Masz czekoladę?! — wykrzyknął Net. — Miałeś ją cały czas?

— To porcja na czarną godzinę — spokojnie odparł Felix, który miał obsesję na punkcie bezpieczeństwa.

— A teraz to jaka jest?

— Najwyżej ciemnoszara. Jeszcze mi podziękujesz, że ci jej teraz nie dałem.

Net mruknął coś, ale nie nalegał. Obeszli wiatę, przyglądając się kolejnym automatom.

— Zaczekajcie... — Nika stanęła przed czerwonym automatem z napisem „Komplamt nawala? Użyj robala!”.

— Przeczucie? — zapytał Net, widząc jej minę. — Ale my nie mamy żadnego komplanta, więc nie może nam nawalać.

Ubrany w żarówkiżółty kombinezon Chińczyk podszedł do automatu i przyłożył dłoń do metalowej płytki na przedniej ściance. Po chwili przed automatem pojawił się ekran z kilkoma rządkami napisów. Ekran, czy raczej prostokątny niematerialny hologram, wisiał chwilę kilka centymetrów przed przednią ścianą automatu, po czym znikł. Chińczyk, wyraźnie zadowolony, odszedł. Felix chwilę się zastanawiał, wreszcie podszedł do automatu i przyłożył dłoń do płytki. Po chwili pojawił się holoe ekran z napisem „Całkowita dysfunkcja komplanta. Brak reakcji na wszystkich kanałach. Konieczna pilna pomoc elektrologa.

Sugeruję do tego czasu zainstalować robala”. Poniżej napis był powtórzony po angielsku i chińsku. Felix cofnął dłoń i napis znikł.

— No i masz! — westchnął Net. — Po co było sprawdzać? Teraz nadal nie wiesz, co to jest ten komplant, za to wiesz, że ci nie działa.

Na tackę z przodu urządzenia wypadła mała czarna torebka.

— Niech zgadnę: robal? — Net sięgnął po nią. Była miękka w dotyku i nieprzezroczysta. Przypominała małą poduszczkę wypełnioną żelam, w którym pływał kawałek gumy. — Tak za friko?

— Może kogoś spytać? — zaproponowała Nika.

— Lepiej nie — zaprzeczył Felix. — Wyobraźcie sobie, że ktoś przeniósł się z początku dziewiętnastego wieku do naszych czasów i próbuje w galerii handlowej znaleźć kowala. Agenci, z którymi mieliśmy już do czynienia, mogą nadal nas szukać. Nie rzucajmy się więc w oczy... jeżeli to w ogóle możliwe w tych strojach.

Net zważył w dłoni czarną torebkę. Trącił ją kciukiem i uniósł brwi.

— Zobaczmy, co tam siedzi. — Sięgnął drugą ręką i rozerwał na perforacji. Z wnętrza wypłynęło trochę żelu, potem w otworze pojawiły się dwa czarne druciki. Po chwili okazało się, że to czułki, były bowiem przymocowane do czarnej owadziej głowy.

— Rzeczywiście robal — przyznał Felix.

Z torebki wyłoniła się, zanurzona w płynnym żelu, płaska, czarna larwa z kilkunastoma parami małych nóżek. Nika zmarszczyła nos. Robal rozejrzał się, po czym... wyskoczył na dłoń Neta. Net wzdrygnął się, ale było za późno. Trzycentymetrowy owad wślizgnął się pod mankiet bluzy, zostawiając za sobą wilgotny ślad.

— Łaaa! — wrzasnął Net, wymachując ręką. Felix i Nika patrzyli na to osłupiali. — Idźcie mi po łokciu! — Net podskakiwał w miejscu. — Zamordujcie go!

Przyjaciele rzucili się, próbując mu pomóc. Felix zaczął okładać ramię Neta dłońmi.

— Auć! Za mocno! Wyżej... Dżizas! Włazi mi na plecy!

Nika zaczęła klepać go po plecach, ale to nic nie pomogło.

— Nie ruszaj się! — krzyknął Felix i zamachnął się plecakiem. — Siedzi ci na karku.

— Chcesz mnie nim walnąć w głowę? — zapytał z przestraszeniem Net. Sięgnął na kark i spróbował złapać robala, ale ten był śliski. — O matko! Przyssał się!

W tym momencie znieruchomieli, zdali sobie bowiem sprawę z tego, że wokoło zaczyna się gromadzić tłumek gapiów. Ludzie patrzyli na nich, oczekując chyba, że to dopiero początek.

— Uśmiechaj się — szepnął Felix.

— Mam pijawkę na karku — syknął Net. — Odczep ją, to się uśmiechnę.

— Komplant mu się zepsuł — wyjaśnił głośniejszym głosem Felix, unosząc rękę. — Sytuacja opanowana.

Ludzie pokiwali głowami ze zrozumieniem, a nawet współczuciem, i zaczęli się rozchodzić.

— Teraz łaskawie weź swojego multitoola — powiedział wolno Net, stojąc z nienaturalnie pochyloną głową — otwórz odpowiednią końcówkę i zdejmij to ze mnie.

— Zaczekajcie — poprosiła Nika. — Ci wszyscy ludzie wyglądali, jakby sytuacja nie była wcale niezwykła.

— Znieczulica społeczna! — krzyknął roztrzęsiony Net. — Przełożę to na twój kark i dokończymy tę rozmowę, co? Zdejmijcie to, bo zaraz zwariuję!

Felix wyciągnął z plecaka multitool i dwoma ruchami przekształcił go w kombinerki.

— Schył się — powiedział i przymierzył się do uchwycenia robala.

— Stop! — krzyknął nagle Net, a Felix zamarł z kombinerkami o centymetr od owada. — Coś widzę... Kolory...

— Pewnie jest jadowity. — Felix z przejęciem ponownie spróbował uchwycić robala.

Net odskoczył i wyprostował się. Zamrugnął oczami.

— Łał... — westchnął, rozglądając się. — Po prostu... łał!

— Co? — zapytała zaniepokojona Nika.

— Łał... — powtórzył Net, wodząc wzrokiem po ścianach budynków i niebie.

— Przestań łałać i mów, co jest grane! — zażądał Felix, wciąż ściskając w dłoni kombinerki.

— Teraz dopiero widzę... Te automaty nie mają napisów ani przycisków. — Net wskazał rząd kolorowych maszyn. — Ale ja je widzę! Na każdym z nich są animowane reklamy. Jak na któryś spojrzę, pojawia się informacja, co sprzedaje i cena. Ten tutaj — wskazał najbliższy — sprzedaje sok z wiśniogron, a tamten pinguje fluskaki. Cokolwiek to są, te fluskaki i czymkolwiek jest pingowanie. Ten duży za nim to pożyczalnia wymiękaczy do spodziewanek, a na końcu stoi trzepator łyżosnurfli. O, na Pałac Kultury wchodzi właśnie King Kong!... E, to też reklama.

— Jak to, widzisz? — zapytał Felix.

— Dzięki temu — Net wskazał kciukiem kark. — Ten robił to właśnie komplant, a dokładniej mówiąc zapasowy komplant.

— Więc to jest... jakiś mechanizm? — Nika przyjrzała się z niesmakiem robalowi.

— Komplant to taki komputer osobisty — wyjaśnił Net, mrugając kilka razy prawym okiem. — Komputer zminiaturyzowany do wielkości ziarnka piasku i... wszczepiony do mózgu. Skrót od komputerowy implant.

— Ten robił coś ci wszczepił? — przestraszyła się Nika.

— Nie. W robalu jest zapasowy komplant. Używa się go, gdy z tym komplantem w mózgu jest coś nie tak. To jak koło zapasowe w samochodzie, tylko na jakiś czas.

— Steruje się nim za pomocą myśli? — zapytał Felix.

— Za pomocą komendomyśli! To po prostu... Łał! Jest i dostęp do internetu. Bezpośredni! Wprost do głowy! To dlatego tu nigdzie nie ma terminali komputerowych. Klawiatury, ekrany, drukarki, telefony, telewizory, konsole do gier... wszystko już jest niepotrzebne!

— Nie podoba mi się to — mruknęła Nika.

— Weźcie sobie po jednym. — Net był wyraźnie rozanielony.

— Dlaczego ciągle mrugasz okiem? — zapytał podejrzliwie Felix, przyglądając się Netowi.

— Tutaj mi się wyświetla dużo rzeczy. — Net wskazał swoją głowę. — Mruganie okiem zastępuje klikanie myszą.

— Co ci się wyświetla? — zapytała ostrożnie Nika.

— Całe mnóstwo informacji. Co tylko chcę. Zegar mam w górnym rogu, na dole informacje giełdowe i prognozę pogody. Mogę zamknąć oczy i obejrzeć sobie film. To trochę tak, jakbyś miała przed sobą przezroczysty ekran, na którym wyświetlasz... Cokolwiek. Mam też program nawigacyjny, wskazujący drogę do najbliższej pizzerii.

— W życiu sobie tego nie przyczępię — zapowiedziała Nika.

Net zauważył w rogu pola widzenia czerwony wyświetlacz odliczający minuty i sekundy. Teraz wskazywał siedem minut i dwadzieścia sekund.

Ruszyli przed siebie, żeby mniej rzucać się w oczy.

— Nie wiesz, co tracisz. Jakiś program nakłada na to, co widzę, szyldy sklepów, reklamy, informacje... Kilka budynków zmieniło nawet kolor. Spójrzcie na pociąg metra. — Net wskazał biało-niebiesko-czerwone wagoniki, opuszczające się na ziemię obok przebudowanego Dworca Centralnego. — Co widzicie?

— Latający pociąg. — Felix był pod wrażeniem. — Normalna sprawa... w roku 2060.

— Ja widzę na jego bokach rzędy animowanych reklam gluterii liczbowej dla zaziębionych — wyjaśnił z uśmiechem Net. — Nad nim unosi się numer linii. Mam też stały dostęp do wiadomości. O, proszę: „Zmutowane betorniki uciekły z rozbieranego właśnie Dworca Wschodniego i zaatakowały konstrukcję pobliskiego rozrywkowiska, zamieniając trzy filary w ser szwajcarski. Wydaje się, że to ostatecznie przesądzi o likwidacji tego mechagatunku i o powrocie do tradycyjnych metod wyburzania”. Mogę nawet sprawdzić, co to są te betoniki.

To biomechanizmy, które wyręczają ludzi w wyburzaniu niepotrzebnych konstrukcji betonowych.

— Skoro masz już ten komplant — powiedziała Nika — to sprawdź, gdzie jest Instytut Badań Nadzwyczajnych. Musimy dostać się do wyników badań nad Pierścieniem. Bez tego nie wrócimy do naszych czasów.

— Nie ma już takich stron internetowych, jakie pamiętamy — Net mrugał, przerzucając kolejne pozycje. — Tu są raczej informacje w czystej postaci... Tak go nie znajdę, ale mam tu wyszukiwarkę... a nawet wyszukiwarkę wyszukiwarek. Zobaczmy... Instytut Badań Nadzwyczajnych... Mam! — Chwilę czytał tekst w swojej głowie. — Zamknięty w 2031 roku... Sorrybardzo.

Licznik wskazywał pięć minut i osiem sekund. Trochę niepokoiło to Neta. Ale tylko trochę.

Przyjaciele podeszli do przejścia dla pieszych, ale pasy zaczęły migać i po chwili zniknęły.

— Ktoś nas robi w bam-bam — zdenerwował się Net.

— Nie, to zamiast świateł dla pieszych — ocenił Felix. — Jak pasy zniknęły, to pewnie nie można przechodzić.

Zatrzymali się przed krawężnikiem. Z lewej strony wolno nadjeżdżała jedna z dziwnych ciężarówek. Była pomarańczowo-szara i przypominała wielkiego, pękatego chrząszcza. Nie miała kabiny kierowcy, w jej miejscu znajdowała się czarna, nieprzezroczysta kopuła. Dzięki komplantowi Net zobaczył, że przed ciężarówką wyświetlany jest ostrzegawczy, czerwony prostokąt, unoszący się kilka centymetrów nad ziemią. Ciężarówka zatrzymała się przy donicy, z której wyrastało fioletowe coś z białymi smugami; wyglądało jak zastygła, poszarpana, kolorowa lava w kształcie uschniętego drzewa. Z cichym sykiem pneumatycznych siłowników z ciężarówki wysunęła się mechaniczna ręka i chwyciła drzewo u nasady. Szczypce przecięły pień, a chwytne palce włożyły je do wnętrza ciężarówki, gdzie zostało zmiażdżone. Ciężarówka odjechała.

Obok kolejne pękate donice z „drzewami” w innych kolorach. Przechodnie wrzucali do donic śmieci.

— To sztuczne rośliny — zrozumiał Felix. — Przetwarzają odpadki na gotowy surowiec.

Z pieńka pozostałego po przeciętym „drzewie” zaczęła kiełkować nowa, fioletowa gałązka.

— One rzeczywiście są żywe. — Wyjaśnił Net, sprawdzając informacje za pomocą komplanta. — Ale to inny rodzaj życia, stworzony od zera przez człowieka. „Mechabiologia uczyniła życie ludzkie wygodnym jak nigdy wcześniej”. Na wysypiskach śmieci rosną całe mechalasy — dodał. — Przerabiają śmieci na owoce-bryłki plastiku. Każdy gatunek daje inne owoce. A ta ciężarówka przed chwilą zabrała drzewo, które w całości da się przerobić na izolację do kabli.

— Zerknijcie na to. — Nika wskazała witrynę najbliższego sklepu. „Hodowla ubrań – eleganckie i dokładne szybkorosty”. Zajrzeli do środka. Wnętrze było małe, znajdowało się w nim pięć cylindrycznych kapsuł. Były otwarte, a w każdej z nich z podłogi wyrastał fioletowy mechakrzak. Przy najbliższej kapsule stał jakiś facet i gapił się w pęk, pęczniący w oczach. W pewnym momencie pęk otworzył się, wypływając złoto-błękitny krawat. Mężczyzna podniósł go, zawiązał pod szyją i wyszedł na dwór, obrzucając jeszcze przyjaciół podejrzliwym spojrzeniem.

— Genialne — przyznał Net. — Ale martwi mnie ten licznik. Mam tu w rogu pola widzenia timer. Odlicza czas. Do zera zostało jeszcze trzy minuty.

Nie mieli pomysłu, co to może być. Ruszyli dalej wolnym krokiem.

Zaczęło się chmurzyć. Felix uniósł głowę.

— To mi wygląda na napęd antygravitacyjny — zauważył, przyglądając się latającym samochodom, których było całkiem sporo na niebie.

— Masz rację. — Net zaczął przeglądać sieć za pośrednictwem komplanta. — Taki latający pojazd nazywa się grav. Wykorzystuje napęd antygravitacyjny. O! Jest wynik wyszukiwania

Instytutu Badań Nadzwyczajnych. — Zamachał rękami, rozganiając wyskakujące mu przed oczami reklamy. Z boku wyglądało to, jakby odganiał rój niewidzialnych szerszeni. — Nie ustawiłem żadnych zabezpieczeń... Zaraz mi tu mózg zhackują.

— I każdy może mi wejść do głowy? — zapytała wystraszonym głosem Nika.

— Dopóki nie ustawisz zabezpieczeń, tak. O! Jest ad-blocker. Ufff... Wracając do tematu. Archiwa Instytutu są w czymś, co się nazywa Ministerstwem Pogody.

— Ministerstwo Pogody? — zdziwiła się Nika. — Nie ma czegoś takiego.

— Widocznie już jest... — mruknął Felix.

— I mieści się dokładnie tam — Net wskazał Pałac Kultury, który przy sąsiednich wieżowcach wydawał się zupełnie niski.

— Ten licznik pokazuje niecałą minutę. — Net coraz bardziej się denerwował.

— Czemu wszyscy się chowają? — zapytała Nika.

Rzeczywiście w kilkanaście sekund ruchliwy chodnik opustoszał. Wszyscy albo weszli do budynków, albo schronili się pod daszkami.

— Mam złe przeczucia... — szepnęła Nika.

Przyjaciele rozglądali się, niczego nie rozumiejąc. Licznik wskazywał dziesięć sekund, dziewięć, osiem, siedem...

— Może powinniśmy... — Felix nie dokończył, bo z góry dobiegł grzmot.

Unieśli głowy. Pogodne jeszcze przed chwilą niebo teraz było zasnuwane ciężkimi chmurami. Nie minęło kilka sekund i lunął gwałtowny deszcz. Wbiegli pod najbliższą wiatę. Licznik wskazywał zero.

— Przynajmniej wiemy, czym jest ten licznik — powiedział Net. — Odliczał czas do deszczu.

— Skąd wiedział, kiedy zacznie padać? — zapytała Nika.

— Dla wygody ludzi deszcze są sterowane — wyjaśnił Net, znów przeszukując komplant.

— Deszcz pada przez kilka minut, a potem wychodzi słońce. Właśnie tym zajmuje się Ministerstwo Pogody.

## Rafał Kosik – Felix, Net i Nika oraz Teoretycznie Możliwa Katastrofa – fragment 2

Patrzyli na Pałac Kultury i znane z roku 2060 wieżowce. Przybyło nawet kilka nowych, jeszcze wyższych budynków, niestety wszystkie były zagrzebane w piachu do wysokości mniej więcej dziesiątej kondygnacji. Były niemal pozbawione szyb, przez betonowe szkielety prześwitywało niebo. Niższe budynki albo się zawaliły, albo zostały przykryte wraz z dachem. Po horyzont ciągnęły się piaszczyste wydmy, nad którymi drgało rozgrzane powietrze.

Minuty ciągnęły się niemiłosiernie, powoli stapiając się w godziny. Ukryci w cieniu grava przyjaciele czuli się, jakby siedzieli tuż przy wielkim ognisku, w dodatku od zawietrznej. Łapy grava wolno zapadały się w piach, aż wreszcie pojazd oparł się brzuchem o wydmnę.

— Może pora ciągnąć zapałki o tę wodę? — odezwał się Net. — Kto przegra, ten odchodzi i ginie na pustyni.

— Superpaczka trzyma się razem do końca — dodała Nika. Poluzowała sznurówki i odwinęła cholewki butów.

Rozmowa nie szła im najlepiej. Głosy mieli zachrypnięte, a usta popękane.

— Wypiłbym nawet kompot z kurzu — oświadczył Net.

— Co? — Nika otworzyła jedno oko.

— Moja ciotka robi kompot z aronii. Smakuje jak kurz rozpuszczony w wodzie. To ta sama ciotka, która każe wszystkim gościom ściągać buty. Nazywamy ją ciotka-skarpeta.

— Majaczysz z odwodnienia — podsumował Felix.

Net powiódł zmęczonym wzrokiem po horyzoncie. Niczego tam nie było, poza wydmami.

— Czy używasz do pióra pitnego atramentu?... Tak, chyba majaczą.

Słońce dowlokło się wreszcie niemal do zachodu i upał nieco zelżał, a cienie wydłużyły się.

— Właśnie nadeszła czarna godzina — oznajmił niespodziewanie Felix.

— Mówisz a propos tej czekolady? — ożywił się Net.

— Tak. — Felix wyciągnął z kieszeni plecaka wymiętoszoną torebkę i położył na dłoni. Nika rozwinęła ją i stwierdziła, że czekolada jest w stanie płynnym. Każdy więc wypił po trochu.

— Miałeś rację — powiedział Net, ciamkając swoją część. — Ciemnoszara godzina nie była tego warta. Tylko że teraz jeszcze bardziej chce mi się pić.

— Widzę sępa — obwieściła nagle Nika.

— Zjemy rosół z sępa — mruknął Net. — Ale sęp sam będzie się musiał mieszać, bo ja nie mam siły.

— To złudzenie z odwodnienia i gorąca. — Felix nawet nie próbował rozkleić powiek.

— To nie złudzenie — upierała się Nika. — Nadciąga pomoc... W każdym razie coś nadciąga.

W drżącym powietrzu obraz zbliżającego się obiektu był bardzo zniekształcony. Czarny zarys układał się raz w gigantycznego ptaka, który wolno machał skrzydłami, by po chwili zmienić się w pędzącego na koniu jeźdźca. Jedno było pewne – to coś się powoli zbliżało.

— To na pewno złudzenie. — Felix rozkleił jedno oko. — Nie, nie próbujcie mi nic sugerować... Widzę... latający żaglowiec.

— Ja też — zauważył Net.

— I ja — dodała Nika. — To nie jest złudzenie.

— A to? — Felix wskazał nogawkę swoich spodni. Siedziało na niej coś wielkości myszy i w najlepsze wygryzało dziurę w materiale.

Przyjaciele ociężałe nachylili się nad dziwołagiem. Z bliska wyglądał bardziej jak nadwymiarowa mrówka z łbem w kształcie kostki do gry. Na upartego można by to coś uznać

za dziwny gatunek myszomrówki, gdyby coś takiego istniało. Była wykonana z matowej masy, przypominającej tę, z jakiej robi się cukierki dwusmakowe. Jakby wziąć brązowy i żółty kolor i rozmieszać je, tak by pozostały wyraźne smugi. Nigdzie nie było widać oczu, a całe ciało wydawało się jakieś krzywe. Z jednej strony miało trzy łapy, z drugiej pięć. Do tego jakieś dwie małe, szybko poruszające się łapkosczytce.

— Fatamorgana wtrącała ci spodnie — powiedział beznamiętnie Net. — To idiotyczne. Nawet nie mam siły się bać...

Felix niemrawym ruchem ręki strącił dziwactwo na piasek. Myszomrówka upadła poza granicą cienia. Odwróciła się do przyjaciół, syknęła, ukazując mały wypełniony ostrymi ząbkami pyszczek, i sprawnie zagrzebała się w piasku.

Czarny kształt na niebie zyskał na ostrości. Z odległości pół kilometra wyglądał jak bardzo stary żaglowiec podwieszony pod baterią czarnych balonów. Widać też było jakby wolno obracające się śmigła.

— Balonożagłokopter — mruknął Net. — Stuningowany „Dar Pomorza”, normalnie. Pogadamy o tym, jak się obudzimy.

— To jakiś zeppelin — przyznał Felix.

Przyjaciele stwierdzili, że gdy nie jest już tak gorąco, czują się trochę lepiej. Wstali, podpierając się o kadłub grava, i zmrużyli oczy. Zeppelin zwalniał i zniżał lot. Teraz już wyraźnie było widać, że kadłub przypomina pomniejszony model żaglowca „Santa Maria”, na którym Kolumb dopłynął do Ameryki. Do masztów, zamiast żagli, przymocowano liny z gigantycznymi czarnymi balonami, ułożonymi w odwrócone grono. Po bokach kadłuba sterczały wysięgniki. Rozwieszono na nich płachty, błyszczących w promieniach zachodzącego słońca, granatowych szkiełek. Po obu stronach rufy, przed wielkim sterem, obracały się dwa śmigła, dające pojazdowi napęd w nieruchomym powietrzu.

— Nigdy nie widziałem takiego sterowca — ocenił Felix.

Rzeczywiście, gdy pojazd wolno schodził do lądowania, balony zdawały się zasłaniać pół nieba.

W burcie na dziobie otworzyła się kłapa i coś z niej wypadło. Pięćdziesiąt metrów od grava w ziemię rąbnęła kotwica, chwilę później identyczna wypadła z otworu na rufie. Liny naprężyły się, żłobiąc kotwicami bruzdy w piasku. Zeppelin przechylił się lekko, a balony zafalowały. Wreszcie pojazd wyhamował w pewnej odległości od grava, dwadzieścia metrów nad ziemią. Przez chwilę siła bezwładności obróciła go, ukazując pięknie zdobioną rufę z polskim napisem „Symfonia Mórz”.

Przyjaciele zadzierali głowy, usiłując wypatrzeć jakiś ruch na pokładzie. Zza solidnej balustrady, wieńczącej obłą burtę, wychyliła się głowa w kapeluszu i wielkich przyciemnianych goglach. Felix, Net i Nika patrzyli do góry, nie wiedząc, czy pomachać, czy raczej uciekać. Wreszcie głowa schowała się, a zamiast niej, za burtę wypadła zrolowana drabinka sznurowa. Rozwinęła się w locie i uderzyła w grunt, wzbijając fontannę piachu.

Patrzyli na nią, nie ruszając się z miejsca.

— Ja bym skorzystał — odezwał się Net.

— Nie bardzo widzę alternatywę — przyznał Felix i sięgnął po plecak. Podniósł go i odskoczył. W miejscu, gdzie przed chwilą leżał plecak, kręciło się kilka żółto-brązowych myszomrówek.

— No nie! — Odwrócił swój plecak. Pełno w nim było małych dziurek. Przez jedną z nich wypadł śrubokręt. — No nie — powtórzył.

Net chwycił swój plecak, również ponadgryzany w kilku miejscach. Torba Niki za to pozostała nienaruszona, choć miała sporo przetarć naturalnego pochodzenia. Wtedy spod piasku zaczęły się wyłaniać myszomrówki w kolorach biało-błękitnych. Obie grupy kolorystyczne odsunęły się od siebie, nieufnie sycząc i machając szczypcami. Biało-błękitne wycofały się i rozpoczęły wygryzanie dziur w kadłubie grava, a żółto-brązowe, w miarę

zapadania ciemności, stawały się coraz śmielsze i wyraźnie miały ochotę dokończyć konsumpcję plecaków. Doszły jednak do granicy cienia i zatrzymały się.

— Wchodzicie czy nie?! — rozległo się z góry. — Słońce zachodzi, czas się kończy.

Przyjaciele spojrzeli w górę. Głos należał do właściciela głowy w kapeluszu i goglach. Podeszli do drabinki.

— Sprawdź teren — oświadczył dyskretnie Felix i zaczął się wspinać. Net i Nika czekali na dole. Tymczasem temperatura stała się całkiem znośna.

— Właźcie, nie ma czasu! — ponaglał właściciel zeppelinu. — Zaraz będzie ciemno.

— No to co, że będzie ciemno? — mruknął pod nosem Net. — Nie jesteśmy strachliwi.

Cień dotarł do ich stóp. Felix zatrzymał się w połowie wysokości drabinki i spojrzął na grava.

— Zrezygnujmy z tych podchodów — powiedział wolno. — Lepiej wchodźcie od razu.

— A rekonesans? — zapytał Net. — Lepiej jak zostaniesz porwany tylko ty...

— Poważnie mówię. — Felix wskazał grava. Odwrócili się powoli, akurat w chwili, gdy wciąż migający pojazd przewrócił się na bok. Myszomrówki rozpierzchły się, a spod piasku wyłoniło się coś... Net i Nika krzyknęli i rzucili się na drabinkę. Wspinali się jednocześnie z dwóch stron, deptając sobie po butach. Wyprzedziliby Felixa, gdyby nie to, że sam przyspieszył wspinaczkę.

Mężczyzna w kapeluszu i goglach pomógł im przedostać się przez reling. Dysząc, legli na deskach pokładu. Po tak ciężkim dniu nawet krótka wspinaczka okazała się bardzo wyczerpująca. Po chwili usiedli i zobaczyli tył ciężkiego, skórzanego płaszcza i wystającego nad kołnierzem kapelusza.

— Dzięki — pierwszy odezwał się Net. — Już myśleliśmy, że kopniemy tam w kineskop z gorąca.

— Dziękujemy panu bardzo — dodała szybko Nika. — Gdyby nie pan... Ja nazywam się Nika, a to są Felix i Net.

Mężczyzna nie odpowiedział. Szybkimi ruchami wciągał drabinkę.

— Jak możemy się do pana zwracać? — zapytała Nika.

— Nazywają mnie Wędrowcem — odparł, nie przerywając pracy. — Niezbyt oryginalnie.

— „Wędrowiec” brzmi romantycznie — zapewniła go Nika.

— Zajęlibyście się lepiej podniesieniem kotwic.

Przyjaciele wstali i rozejrzeli się po pokładzie. Było tu mnóstwo lin, kołowrotek i bloczków. Z przodu pokład główny kończył się podwyższeniem z małymi drzwiczkami i schodami prowadzącymi na część dziobową. Z tyłu tworzył dwa wysokie stopnie wraz z tylną nadbudówką, przekrytą spadzistym dachem i zgaszonymi jeszcze latarenkami. Tam też prowadziły strome schody. Dla niewprawnego oka niemożliwością było odszukanie w tym gąszczu mechanizmów lin kotwicznych.

Wędrowiec nagle wstrzymał wciąganie drabinki, bo ta stawiała nieoczekiwany opór.

— Tnijcie liny — krzyknął, szarpiąc się z ciężarem.

Przyjaciele dopadli do relingu i spojrzeli w dół. Pustynia tonęła już w półmroku. Jedyne zachodnie stoki wydm, a raczej ich wierzchołki, płonęły dzikim pomarańczem. Większa część tarczy słonecznej schowała się już za horyzontem. Grava był pożerany przez setki myszomrówek, a po drabince sznurowej wspinało się coś, co wyglądało na wytwór chorej wyobraźni szalonego projektanta zabawek dla psychopatycznych dzieci.

— To coś przewróciło grava — zauważyła Nika. — Myślałam, że to złudzenie.

Patrzyli z przerażeniem, jak dziwoląg sprawnie pokonuje kolejne szczeble.

— Co to jest?! — krzyknął Net.

— Biomech — odkrzyknął mężczyzna, siłując się z drabinką. — Tnijcie liny, mówię!

Stwór przypominał tygrysa, ale tylko na pierwszy rzut oka. Czarno-pomarańczowe pasy pokrywały nieregularnie jego chude ciało. Korpus stanowiła elastyczna rura lub pręt, gruba na

jakieś piętnaście centymetrów, zakończona z przodu kanciastą głową z otworem gębowym, z kilkoma krzywo rozmieszczonymi na obwodzie kłami. Pięć chwytnych łap sprawnie radziło sobie z drabiną. Felix wyciągnął z kieszeni scyzoryk i zaczął ciąć pierwszą linę drabinki. Nim ją przeciął, „tygrys” pokonał połowę wysokości. Z drugą liną poszło łatwiej i wreszcie potwór spadł na piasek. Wędrowiec, tupiąc ciężkimi buciorami, pobiegł na mostek, znajdujący się na tylnym pokładzie tuż pod nadbudówką i nacisnął kilka przycisków na konsoli, obok koła sterowego. W górze coś zabuczało. Przyjaciele unieśli głowy i zobaczyli żarzące się na czerwono spirale pod otworami w dole balonów. Gdy grzałki świeciły już na biało, balony naprężyły się i napięły mocniej liny. Pokład zadrżał. Kotwice wyskoczyły z piasku, jednak wspinało się po nich kilkaset myszomrówek w kilku odmianach kolorystycznych.

— O co tu chodzi? — zapytał Net. — Atakują nas jakieś tandetne animki z podrzędnej kreskówki. Gdzie my jesteśmy?!

— Nie wiemy, jak się wciąga kotwice! — zawołał Felix.

— Już za późno — odparł Wędrowiec, przytykając do ust mały gwizdek. Dmuchał w niego, ale przyjaciele nie usłyszeli żadnego dźwięku. Spod pokładu, przez kwadratowe otwory zaczęły wybiegać fosforyzujące na zielono pająki. Nika pisnęła i schowała się za Neta, który sam miał nietęgą minę. Pająki pobiegły w kierunku lin kotwicznych. Felix wychylił się za reling, obserwując natarcie. Pająki nic sobie nie robiły z pionowego spadku burty. Biegły w kierunku lin, na spotkanie z myszomrówkami. Prawdziwa bitwa rozegrała się na linach tuż pod burtą. Dochodziły stamtąd trzaski i piski. Co chwilę w dół spadało jakieś piszczące, wymachujące odnóżami stworzenie.

Gdy spadły już wszystkie myszomrówki, fosforyzujące pająki wróciły na pokład i karnie skierowały się do kwadratowych otworów. Przyjaciele z mieszanymi uczuciami patrzyli na stwory maszerujące tuż obok ich stóp. Nika była blada jak kreda i ścisnęła rękaw Neta. Chłopcy wyglądali niewiele lepiej od niej.

Wędrowiec podniósł kotwicę. Ściągnął wreszcie kapelusz oraz wielkie gogle. Był żyłastym czterdziestolatkiem o smutnym spojrzeniu. Zaczesał przetłuszczone włosy, spojrzał na przyjaciół i westchnął smutno.

— Dziękujemy — powtórzył Felix.

— Mam zbyt dobre serce. Kiedyś mnie to zgubi — odparł mężczyzna. — Spędziliście cały dzień na pustyni?

— Zrobiliśmy destylator — wyjaśnił Felix. — Prawdę mówiąc, obawialiśmy się najgorszego...

Słońce zaszło i pustynia w dole zniknęła w mroku. Niebo zrobiło się fioletowe, a po chwili już czarne. Przyjaciele z niedowierzaniem odprowadzali wzrokiem rozdzierany na kawałki pojazd, przy którym siedzieli przed kilkoma minutami.

Wędrowiec podszedł do konsoli i włączył latarenki na pokładzie. Zapłonęły słabym, żółtawym elektrycznym światłem.

— Słusznie się obawialiście. — Pokiwał głową i wskazał im miejsce na czymś w rodzaju kanapy, stworzonej ze zwojów lin. Podał im gliniany dzban z wodą. — Gdybym przybył kwadrans później, zastałbym same kosteczki.

Przyjaciele usiedli i wymieniali się dzbanem, wlewając w siebie niesamowite ilości wody.

— Co to było? — zapytał Felix. — To na dole.

— Biomechy — wyjaśnił Wędrowiec tonem, jakby to była oczywistość. — Tam musiało być kiedyś miasto.

— Warszawa — pokiwał głową Felix. — Tam była Warszawa.

— Biomechanoidy wszystko zjadły i zakopały się w piasku — zastanowił się Net. — Obudziliśmy je...

— Czy wszędzie tak to wygląda? — zapytała Nika

— Chodzi ci o pustynię? — zapytał Wędrowiec. — Nie, są też wielkie obszary skał. Najbliższe lasy i zielone łąki ostały się w północnej Brytanii i na Islandii. Im bliżej biegunów, tym znośniejsze warunki do życia. Walijskie gaje oliwne, plantacje róż grenlandzkich.

— Ale co się właściwie stało? — zapytał Felix. — Dlaczego... tu jest pustynia?

Wędrowiec obrzucił ich badawczym spojrzeniem.

— Rozbijacie się na środku pustyni pojazdem, jakiego nie widziano nigdzie od dziesiątek lat. Wasz bagaż wygląda, jakbyście uciekali w pośpiechu. Skąd wy się tu wzięliście?

Przyjaciele spojrzeli na siebie.

— To długa i skomplikowana historia — powiedział Felix.

— Z chęcią opowiemy ją przy kolacji — dodał szybko Net.

\*\*\*

Wędrowiec wrócił wreszcie na pokład. Niósł miedziany kociołek na trzech nóżkach z łyżką w środku, która zapewne miała posłużyć wszystkim. Głód nie pozwolił im jednak narzekać.

— Proszę, ja już jadłem — powiedział mężczyzna, stawiając przed nimi kociołek. Zajrzeli ostrożnie do środka. Danie wyglądem przypominało rzadki gulasz. Net pierwszy chwycił łyżkę, nabrał gulaszu, podmuchał i spróbował.

— Gulasz, jakby... — ocenił, pokiwał z uznaniem głową i przełknął. — Z czego to jest?

— Nie chcesz wiedzieć — uśmiechnął się Wędrowiec. Usiadł naprzeciwko.

Net podał łyżkę Nice.

Mężczyzna patrzył na nich z uprzejmym oczekiwaniem. Po kilku kolejkach zaczęli na przemian opowiadać swoją historię, począwszy od tego, jak zobaczyli na korytarzu szkoły zjawę żołnierza, a skończywszy na awarii grava. Wędrowiec kiwał głową i długo zastanawiał się na tym, co usłyszał.

— Czemu nie — ocenił wreszcie, drapiąc się za uchem. — To tak zwariowana historia, że trudno by ją było wymyślić. W tym szalonym świecie brzmi całkiem normalnie. Zresztą, po co miałbyście kłamać... Hm. Jeśli to prawda, to pewnie chcecie wiedzieć, co tu się wydarzyło? Zostawiliście zielone lasy, a zastalście pustynię.

Przyjaciele odstawili pusty kociołek i w oczekiwaniu wbili wzrok w Wędrowca. Ten wyciągnął długą fajkę, wolno i starannie nabił ją tytoniem i przypalił. Latarenki przygasły i dawały dokładnie tyle światła, żeby nie potykać się o leżące na pokładzie przedmioty. Żarniki, podgrzewające powietrze w balonach, ledwo czerwieńiały w gorze. Słychać było cichy szelest poszycia balonów, potrzaskiwanie lin i poskrzypywanie drewnianej konstrukcji kadłuba.

— Odwiedziliście rok 2060, więc będzie mi łatwiej tłumaczyć — zaczął Wędrowiec, wydmuchując kółko z dymu. — Wtedy mniej więcej zaczęto na całego regulować pogodę. Używając ogromnych ilości energii, przesuвано całe masy powietrza z kontynentu nad kontynent. Początkowo chodziło o przeciwdziałanie potężnym kataklizmom. Potem pojawiło się wiele różnych pomysłów, które na nieszczęście wprowadzono w życie. Ludzie myśleli, „Po co w Indiach ma padać przez kilka miesięcy, skoro w Afryce ludzie umierają z pragnienia?”. Pchano więc chmury deszczowe przez tysiące kilometrów. Możliwości wydawały się nieograniczone, a apele naukowców o rozwagę zbywano śmiechem, a czasem i wrogością. Jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, każdy chciał uszczknąć coś dla siebie. Rolnicy i farmerzy wywalczyli łagodne lato, łagodną zimę i regularne opady deszczu, a że nieprzyjemnie jest samemu moknąć, deszczom pozwolono padać o stałych godzinach. Nie było tylko zgody co do ilości opadów. Hodowcy tulipanów urządzali demonstracje przeciwko pszczelarzom, a właściciele pól ryżowych przeciwko producentom oliwek. Ludzie z miast chcieli mieć ładną pogodę na dwa tygodnie urlopu. W wakacje nie do pomyślenia było nawet zachmurzenie czy silniejszy wiatr. Polityka pogodowa zmieniała się wraz z każdym rządem. Państwa handlowały między sobą zimnymi i ciepłymi masami powietrza, chmurami deszczowymi. Tornada zamieniano w łagodne wietrzyki, a gradobicia i gwałtowne burze

zdarzały się tylko nad morzem, w obszarach uprzednio opuszczonych przez statki. W międzyczasie miało miejsce kilka lokalnych wojen pogodowych, w których obie strony sprowadzały na siebie nawzajem przeróżne kataklizmy. Dokonano nawet jednego ataku terrorystycznego z użyciem huraganu.

I tak przez kilkadziesiąt lat, aż okazało się, że wszystko wymyka się spod kontroli. Trzeba było używać coraz większej siły, by utrzymać aurę w ryzach. Wreszcie zabezpieczenia systemów klimatycznych nie wytrzymały i rozpętało się piekło. Oberwania chmur i powodzie niszczyły plony. Po nich nadchodziły wielomiesięczne upalne lata i susze, a wreszcie niezwykle mroźne zimy. Kataklizmy o niespotykanej dotąd sile niszczyły całe miasta. Rozregulowaliśmy pogodę na naszej planecie, bo ceniliśmy sobie wygodę. Okazało się, że gradobicia i tornada są konieczne, że konieczne są powodzie i susze. To był naturalny cykl życia, w który ingerowaliśmy bez dostatecznej wiedzy i odpowiedzialności. I bez umiaru. To, co widzicie wokoło, to efekt wygodnictwa i zachłanności ludzi.

Ale to nie wszystko. Natura po jakimś czasie sama powróciłaby do równowagi, gdybyśmy jej znów nie przeszkodzili. Twórcy nanorobotów pilnowali przez lata, by ich mikroskopijne dzieła nie wyrwały się spod kontroli. Nanoroboty wykonywały wiele pożytecznych czynności i były naprawdę nieocenione. Potem zaczęto je łączyć w większe mechaorganizmy, takie jak na przykład sztuczne rośliny, które na pewno widzieliście.

Dopóki mecharośliny opróżniały kosze na śmieci, mieliśmy nad nimi kontrolę. Potem ktoś wpadł na pomysł, by posadzić je na wysypiskach śmieci. Miały być zachowane szczególne środki ostrożności, ale jak to bywa w podobnych przypadkach, po kilku latach uznano, że nie ma niebezpieczeństwa. Ludzie zaczęli nawet sadzić sztuczne rośliny we własnych ogródkach. Po katastrofalnych zmianach klimatu, wywołanych przeciążeniem systemów klimatycznych, na świecie zapanował głód. Wtedy popełniono jednocześnie dwa największe błędy w historii ludzkości: skonstruowano biomechanoidy, przetwarzające odpadki organiczne na pożywienie dla ludzi, i pozwolono im się samodzielnie rozmnażać. Szybko pojawiały się mutanty, a skoro mogły żywić się materią organiczną, zaczęły konkurować z prawdziwymi roślinami i zwierzętami. Trwało kilka lat, nim osłabione anomaliami pogodowymi i przetrzebione przez człowieka lasy zostały dosłownie zabite i pożarte. Biomechanoidy ostatecznie zamieniły ziemię w pustynię i zaczęły polować na ludzi. Rozpętała się wojna, ale w walce z biomechanami zwykłe metody zawodziły. Sami je stworzyliśmy tak wytrzymałymi. Stworzyliśmy nowy rodzaj życia, a to nowe życie zbuntowało się przeciw nam i wypowiedziało nam wojnę. Wojnę, którą przegraliśmy.

— Teoretycznie Możliwa Katastrofa na skalę planetarną — westchnął Net.

— Masz rację. Stało się dokładnie to, co przewidywali niezależni naukowcy.

Traktowaliśmy przyrodę okrutnie i bezwzględnie, zapominając, że sami jesteśmy jej częścią. Wszyscy wiedzieli o zagrożeniu, ale ignorowali je. Bezpieczeństwo przegrało z wygodnictwem. Zresztą zobaczcie sami. — Wstał i podszedł do relingu. Włączył silny reflektor i skierował światło w dół. Przyjaciele stanęli obok i zdrętwieli.

Daleko w dole, po powierzchni pustyni poruszały się setki różnokolorowych istot, nie przypominających niczego, poza chorym snem twórcy psychodelicznych filmów animowanych.

— Są ich niezliczone rzesze — powiedział smutno Wędrowiec. — Wyczuwają zbliżający się statek i wypełzają spod piachu w nadziei, że nas dosięgną. Światło sprawia, że starają się jeszcze bardziej.

Reflektor zgasł. Twarze przyjaciół i Wędrowca jaśniały w świetle latarenek. Z dołu dochodziły nerwowe szelesty i potupywania.

— Ale wciąż istnieją miasta, ludzie? ... — zapytała ostrożnie Nika. Czuła, że powoli ogarnia ją senność.

— Ci, którzy przetrwali wojnę z mutantami, uciekli — odparł Wędrowiec. — Natomiast miasta... Widzieliście Warszawę. Podobnie wyglądają wszystkie stare miasta. Z powodu gorąca ludzie żyją wyłącznie blisko biegunów, w nowych miastach. Od biomechów odgradza nas woda. Jak na razie nie wpadły na pomysł, żeby do nas przyptynać.

— A pan? Co pan tutaj robi?

— Ja i wielu innych podróżujemy regularnie między miastami Północy i Południa, przewożąc towary i pilnując jednolitości języka. Każdego roku kilku z nas nie dociera do celu... Wierzymy, że kiedyś odzyskamy Ziemię.